

SŁOWO

PRZEDSTAWICIELSTWA

WILNO. Niedziela 20 kwietnia 1930 r.

Redakcja i Administracja, Wilno Ad. Mickiewicza 4 otwarta od 9 do 4. Telefony: Redakcji 17-82, administracji 228 druk 262.

BARANOWICZE — ul. Szepczyńskiego — A. Łaszk.
BIENIAKONIE — Bufet Kolejowy.
BRASLAW — Księgarnia T-wa „Lot”.
DĄBROWICA (Polesie) — Księgarnia K. Małinowskiego.
DUKSZTY — Bufet Kolejowy.
GLEBOKIE — ul. Zamkowa, W. Włodzimierow.
GRODNO — Księgarnia T-wa „Ruch”.
HORODZIEJ — Dworzec Kolejowy — K. Smarzyński.
IWIEŃC — sklep tytoniowy S. Zwierzyński.
KLECK — sklep „Jedność”.
LIDA — ul. Suwalska 13, S. Matecki.
MOŁODECZNO — Księgarnia T-wa „Ruch”.

NIESWIEZ — ul. Ratuszowa, Księgarnia Jazwińskiego.
NOWOGRODEK — Kiosk St. Michalskiego.
N. ŚWIECIANY — Księgarnia T-wa „Ruch”.
OSZMIANA — Księgarnia Spółdz. Naucz.
PINSK — Księgarnia i Polska — St. Bednarski.
POSTAWY — Księgarnia Polskiej Macierzy Szkolnej.
SŁONIM — Księgarnia D. Lubowskiego, ul. Mickiewicza 12.
STOLPCE — Księgarnia T-wa „Ruch”.
ST. ŚWIECIANY — ul. Rynek 9, N. Tarasiejski.
WILEJKA POWIATOWA — ul. Mickiewicza 24, F. Juczeńska.
WARSZAWA — T-wa Księg. Kol. „Ruch”.
WOŁKOWYSK — Księgarnia T-wa „Ruch”.

PRENUMERATA miesięczna z odniesieniem do domu lub z przesyłką pocztową 4 zł., zagranicę 7 zł. Konto czekowe P.K.O. Nr. 80259. W sprzedaży detali. cena pojedynczego numeru 20 gr.

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Redakcja rękopisów nie zamówionych nie zwraca. Administracja nie uwzględnia zastrzeżeń co do rozmieszczenia ogłoszeń.

CENY OGŁOSZEŃ: wiersz milimetrowy jednoszpaltowy na stronie 2-ej i 3 gr. 40. Za tekstem 15 groszy. Komunikaty oraz ogłoszenia milimetrowe 50 gr. Kronika reklamowa milimetrowa 60 gr. W numerach świątecznych oraz z prowincji o 25 proc. drożej. Zagraniczne 50 proc. drożej. Ogłoszenie cyfrowe i tabelaryczne o 50 proc. drożej. Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń co do miejsca. Terminy druku mogą być przez Administrację zmieniane dowolnie. Za dostarczenie numeru dowodowego 20 groszy.

Z M A R T W Y C H W S T A N I E

„Wesołych świąt” — oto życzenie dnia dzisiejszego. Jest bowiem Wielkanoc ze wszystkich świąt roku najbardziej radosnem świętem. Jest przypomnieniem Zmartwychwstania, triumfu życia nad śmiercią. A jak śmierć, martwość, są synonimem smutku — tak życie jest synonimem radości. Więc o radości dziś piszę.

* * *

Różna jest radość ludzka. Jest radość najprostszą, ta którą zna nie tylko każdy człowiek, ale każde żywe stworzenie. Radość, jaką odczuwa każde budzące się życie, radość wiosny, lata i jesieni, radość słońca, radość ptaków, kwiatów, owoców, wina i śpiewu, radość ziemi. Radość, to rzetelna i prawdziwa, choć niełatwa zwykłe i rzadka niestety.

Ale błąda człowiekowi, któryby jedynie tę radość znał, któryby jej jedynie słuchał i pragnął. Im większe, są możliwości do jej uzyskania, tem więcej znajdzie rozpacznej melancholji, jeżeli tej jedynie radości będzie szukał. Zapoznane, zapomniane inne strony życia stają się dla tego człowieka źródłem niemożnego smutku; i to tem prędzej, im lepiej będzie mógł nasycić swoje pragnienie tej najprostszej radości. Jazż band kłac mu będzie rozpaczliwym smutkiem, rozbiegany w blasku reklam tłum otoczy go najstraszliwszą, żywą pustką, pijana rozpacz zdławi go, jak zmora, i — kto wie — czy nie rzuci go pod koła elektrycznego wozu. Najwięcej samobójstw chyba jest właśnie wśród ludzi, którzy gonią za tą najprostszą radością, za radością ziemi. I niema rozpaczliwszych tragedji, jak i tragedia tych, którzy widzą tylko to życie, jakie wspólne jest wszystkim istotom żywym — roślinom, zwierzętom i człowiekowi.

* * *

Jest radość inna, radość twórcza. Radość głębszą znacznie, radość, którą odczuwać mogą tylko istoty rozumem obdarzone. Ta znacznie mniej zależna jest od warunków zewnętrznych. Znał ją ów Grek, który ziemię chciał dźwignąć, gdy w radosnem uniesieniu zdobywszy iskrę prawdy, wołał „Eureka”. Znał ją kanonik toruński, zapatrzonny w gwiazdy, gdy pojął cząstkę wszechświata. Nie potrzebował tej radości dzielić z nikim. Na łożu śmierci, z tomem swych „Rewolucji” w rękę, w przeświadczeniu zupełnem, że wiele jeszcze lat minie, nim ludzie wskazaną przez niego prawdę zrozumieją, miał w sobie radość niezmierną — radość prawdy. Ta sama radość twórcza brzmi w hymnie tryumfów wojskowych, gdy żołnierz ma przeświadczenie o słuszności sprawy, której służy, gdy wierzy, że jego tryumf — to tryumf dobra. Nietylko każde „Exegi monumentum”, ale i każde „veni, vidi, vici” jest pełne tej radości. Zna ją i rolnik, spoglądający na wykarczowane, zróżniane, uprawione, pszenicą falujące nie dawne pustkowia, dziś, dzięki jego pracy, łany. Zna ją matka, patrząca na dorosłe dzieci. Radość w człowieku — twórcy, radość z wypełnionej pracy, z uwielczonych powodzeniem wysiłków, radość bohaterska.

Kto tej radości szuka, z radości owej pierwszej, z radości ziemi, cieszyć się może prawdziwie. Przy pracy twórczej — radość słońca i wina staje się możliwą, tą pracę oświeca, i ogrzewa. Ten tylko z radości ziemi korzystać może, kto do radości twórczej dąży.



Ale błąda człowiekowi, któryby tę jedynie radość twórczą znał, do niej jedynie dążył. Jak złodziej po nocy, przychodzi dzień kłeski. Praca całego życia, morderczo wznoszony gmach, w gruzy pada. Nagromadzona wiedza okazuje się doinkiem z kart, rozsypuje się za ładą powiewem. Stają przed oczyma ogromne zagadnienia — osiągnięte iskry prawdy zdają się czemś takim, że aż nie wartem lat pracy i wysiłku. Stworzone arcydzieła zdają się nie mieć wartości. Nietylko mędrców na łożu śmierci woła o światło, ale wódz, rycerz bez skazy, pod gruzami sprawy której służył, chwytą za pistolety.

Jak radosnym jest zgon, gdy grzmiały działo tryumfu — tak pełną smutku jest śmierć w odwrocie — choćby to była bohaterska śmierć w Elsterze.

* * *

Bo jest jeszcze inna, jeszcze wyższa radość, niż radość twórcza i bohaterska. Jak oprócz życia zwierzęcego i życia rozumu i woli jest w nas jeszcze wyższe, jeszcze świętejsze życie — życie Boże, nadprzyrodzone — tak jest radość najwyższa, radość Boża. To nie jest tylko „radość z czystego sumienia”. Czyste sumienie jest tylko jednym z warunków tego najprawdziwszego życia, jakie jest w człowieku, — życia Bożego, życia łaski. Radość jedności z Bogiem, z żywymi Chrystusem. Radość z udziału w szerzeniu Chwały Bożej, radość z tej samej chwały. Gdzieś najgłębiej w duszy, najdalej od oczu ludzkich jest ta radość, niezależna od niczego na ziemi, radość męczenników na arenach, radość łotra na Krzyżu. O ile radość ziemi czuje wszystko, co żyje, radość twórczą rozumie każdy, kto myśli, to ta radość — radość Boża — jest udziałem ludzi, żyjących po Bożemu. Nic jej nie przerwie. Sama nawet śmierć jest tylko wstępem, tylko częścią tej radości, radości zmartwychwstania.

To jest ta radość, która wszystko oświeca. Przy niej innego zgola blasku nabiera i radość twórcza, i radość ziemi. W niej nawet boleść i ciężar jest radosnym, nawet kłeska nie prowadzi, do melancholji ani beznadziejności. Tej radości nikt odjąć nie może, jest ona nie tylko udziałem, ale i obowiązkiem, — „zawsze się weselić” — naucza święty Paweł.

* * *

W naszej epoce, dzika pogoń za radością ziemi — straca ludz i do szeregu zwierząt, bestjalizując ich; ta pogoń przez całe ludy programowo jest wyznawana, jako oficjalna nauka „pracujących mas”. Sama pogoń pograżyła całe ludy w martwej i ponurej beznadziejności i przekreśliła radość życia.

Z drugiej strony, nawet bohaterstwo szarem się zdaje i marnem, gdy walczą ze sobą ideały, gdy co chwila coś w gruzy się zapada.

Dobrze jest więc oderwać na chwilę myśl od spraw traktatów handlowych, konferencji morskich, od Mahatmy Ghandiego, i sojuszków dyplomatycznych, a spojrzeć w tryumf trwający od dwóch blisko tysięcy lat — tryumf najwyższego, Bożego życia w człowieku. Ten tryumf od dwóch tysięcy lat jest źródłem prawdziwej, coraz nowej radości. Chrześcijańskie ludy ciotczyły go pełnią, biciem dzwonów, światłem i jasnością.

Ten tryumf — to tryumf Boży, — tryumf Zmartwychwstania.

X. W. M.

W dniu Zmartwychwstania Pańskiego najserdeczniejsze życzenia „Wesołego Alleluja” składa Czytelnikom, Przyjaciółom i sympatykom pisma naszego Redakcja i Wydawnictwo „Słowa”

Z dziejów Wileńskich Towarzystw Kulturalno-Muzealnych

H. ROMER.

A W A N T U R A

Kiedy kraj nasz wyzwolony został z pętów niewoli i w Wilnie wskrzeszona została, tyle zasłużona nauce polskiej, wszechniczej Batorowa, to wychyłać dość liczne grono jej sił profesorskich wzmacniał skromny zastęp pracowników naukowych, stojących na czele wileńskiego T-wa Przyjaciół Nauk. Stąd obecnie i nad sprawami racjonalnej organizacji zbiorów pomienionej instytucji prywatnej, składającej się ze zgromadzonych przez nią bogatego księgozbioru, archiwum oraz działów archeologicznego, historyczno-obyczajowego, pamiątkowego, artysty-

sa Muzeum T-wa Michała Brenszteina. Dział ludoznawczy naszej instytucji znalazł miarowicie pomieszczenie w dosyć ciasnej sali, gdzie się przedtem lokował dział przyrodniczy.

Wobec niedostatecznej ilości większych ubikacji, gwoździ należytego urządzenia wszystkich zbiorów T-wa P.N., powyższy dział naukowy z kolekcjami zoologicznymi, ornitologicznymi, mineralnymi i t.p. Zarząd T-wa zmuszony był złożyć, w charakterze depozytów, w gmachu uniwersyteckiego Kolegium im. Czartoryskich przy ul. Zakrętowej oraz w domu Szkolnej Pracowni doświadczałnej przy ul. Zawalnej. Ile że jak wiadomo np. znacznie większe jeszcze zbiory ornitologiczne i rozmaite inne z zakresu przyrody, pozostałe po zdewastowanym w różnych czasach Muzeum, stworzonym niegdyś przez Eust. hr. Tyszkiewicza, ornitologa Tyzenhauza i innych, ulokowane zostały właśnie przez Uniwersytet w pomieszczeniu Kolegium.

Przez ciąg niespełna dwóch lat odbywała się restauracja gmachu T-wa P. Nauk, a dotąd jeszcze wszystkie jego zbiory nie są udostępnione dla zwiedzających, stąd może przedwczesnym było to uroczyste otwarcie Muzeum T-wa, nieuzupełnionego jeszcze oddziałem etnograficznym.

Znakomite pod względem, zwłaszcza zgromadzonych cennych obrazów i rzeźb kolekcje, byłego T-wa Przyjaciół Nauk, do którego zbiory one zostały przylgnięte rzetelną podstawą dla urządzenia w przyszłości bogatej galerii sztuki obecnej zarówno jak i polskiej. W tem miejscu musimy przejść już do skromnego przynajmniej zarysu dziejów powstania pierwszej w Wilnie prywatnej instytucji muzealnej polskiej w tym czasie, gdy zagrabione niegdyś z nakazu Murawjewa przez kuratorium szkolne rosyjskie było Muzeum starożytności, założone przez znanego organizatora, niezapomnianego wileńskiej Komisji Archeologicznej, Eustachego hr. Tyszkiewicza, jako zreformowane w roku 1865 w duchu tendencji rosyjskiej, obcemu było dla społeczeństwa miejscowego, a tyle rażąco dysonansiem swych naleciałości na ideę harmonijnej nie układających się miejscowych poczynań kulturalnych.

Pośród p. p. **czynowników**, których ordędownictwu powierzony był rozwój onego muzeum, odstraszającego ludzi już samym widokiem, zdobiącego jego wnętrze szeregiem konterfektów różnych Siemaszków, Kornitowych, Batiuszkowych, i t. p. **diejafielej**, w dziedzinie rusyfikacji kraju, zapanaowała szczególniejsza konsternacja. Jaki taki ruch wolnościowy zapoczątkowany przez władze carskie w r. 1905 wpłynął znacznie na zobojętnienie dotychczasowej celowości Muzeum „drewnostiej” przy wileńskiej niby publicznej bibliotece wprost pałacu generał-gubernatora położonej, tak iż dyrekcja instytucji onej raz po raz występowała z projektem powierzenia kierownictwa muzeum starożytności polskim. Taka mianowicie propozycja otrzymała najpierw znany archeolog Wandalin Szukiewicz, a gdy uczony nasz odmówił, to wówczas kustosz Pokrowskiej zachęcał kreślącemu te wyrazy do przyjęcia rzeczonoego stanowiska, ale oczywiście bezskutecznie. Następnie spotkał się z odmową ze strony i innych, również osób.

Wówczas to, a mianowicie już od r. 1899 funkcjonowało, stworzone konspiracyjnie przez niżej podpisanego, prywatne Two Miłośników Starożytności i ludoznawstwa, wspierane początkowo najgorliwiej przez mec. St. Bułharskiego i inż. gór. Bron. M.

rawskiego, a wkrótce potem przez uczonoego W. Szukiewicza, po nim zaś przez art. malarza Fr. Jurjewicza i wreszcie, znanego w Wilnie działacza społecznego, prow. Kaz. Stefanowskiego.

Ono to T-wa, liczące w Wilnie i na prowincji kilkadziesiąt osób członków, zamierzało w najbliższym czasie zorganizować zalegalizowane przez władze muzeum miłośników archeologii krajowej i sztuki wileńskiej, albowiem posiadało ono już pewien związek zbiorów urozmaiconych. Do tych ostatnich przedewszystkiem należały: biblioteczka doborowa, która stała się potem podstawą księżnicy T-wa Przyjaciół Nauk, a stworzona została pracą niżej podpisanego, mec. Adama Karłowicza i Wand. Szukiewicza; dalej kolekcja szczątków kaflanych i innych zabytków odszukanych na zamczysku trockim podczas dokonywanej restauracji niektórych części wspaniałego zabytku kiejstutowskiego, pod kierunkiem członków T-wa Mił. Star. i Lud. W. Szukiewicza i inż. Bron. Malewskiego; wreszcie — z teki i albumu, układanych przez dr. W. Zahorskiego, kustosa pamiątek pomienionego T-wa, zawierających rozliczne fotografie i rycin.

Na kilka lat przed tem, piszący te słowa, wspólnie ze znanym ze swej działalności na polu przemysłowym za równo jak i kulturalnym, Antonim hr. Tyszkiewiczem, przejęli się ideą stworzenia prywatnej narażonej placówki naukowej i gromadzenia w tym celu biblioteczno-archiwalnych oraz artystycznych kolekcji umieszczonych w pałacyku obok kościoła św. Jerzego. Dodać ten z komfortem wewnątrz urządzonej przez Ignacego Korwin-Milewskiego mieścił przedtem znakomitą galerię sztuki polskiej. Niestety, posłuchawszy niebacznie rady pewnego wybitnego prawnika wileńskiego, poniechał ostatecznie Ant. hr. Tyszkiewicz powyższego chwalebego zamiaru. Stąd wspólnie archiwum, przewidziane z Horodna, a niegdyś gromadzone przez W. Marsz. Ludwika hr. Skumin-Tyszkiewicza i spokrewnione z nim rodziny, odpowiednio posegregowane w onej rezydencji pohełmańskiej przez niżej podpisanego, zostało ostatecznie rozproszone, aczkolwiek wcale nie zniszczone.

Tak samo stało się potem i z mader szacowną księżnicą, nabytą z zachęty mojej, po profesorach M. Polińskim i W. Górskim od syna tego ostatniego s.p. Jarosława. Za to, dodatkowo otrzymana przez hr. T., a przy onej bibliotece konserwowana część archiwum dawnego uniwersytetu wileńskiego, przesłała z Wilna do Czartoryskich, w Krakowie, tylko pewna ilość dokumentów dostała się do hr. T. jako honorarium za pracę biblioteczno-archiwalną kreślącemu te wyrazy.

Bogiem a prawdą, ród hr. Tyszkiewiczów i w wieku XIX oraz później należał do najbardziej uspołecznionych, a najzasłużniejszych rodów naszych kresów północno-wschodnich, nawet we względzie świetnych poczynań ich kulturalnych. Szczególnie zaangażowała się działalność tych obywateli w dziedzinie krajoznawstwa, muzeologii, badań sztuki, tudzież gromadzenia jej zabytków, wreszcie wydawnictwo popierania wszelkich poczynań kulturalno-oświatowych i filantropijnych.

Dość przytoczyć imiona: generała Tadeusza Tyszkiewicza, który przedtem walczył przy boku Jakóba Jasińskiego i ks. Józefa Poniatowskiego; Eustachego i Konstantego hr. Tyszkiewiczów, archeologów, Michała hr. Tyszkiewicza z Birz, benefaktora tea-

tru i muzeów wileńskich, syna jego Józefa, numizmatyka i autora „Tyszkiewiczianów”; Zofii hr. Tyszkiewiczowej i jej córki Marii, filantropki, w których ślady wstąpił i brat tej ostatniej Władysław, przed 25 laty organizujący Wil. Pogotowie Ratunkowe. On to również na ów cel w tymże czasie sprowadził z Warszawy najlepsze siły aktorskie Teatru Rozmaitości (było to w dniach 22, 23 i 24 czerwca 1905 r.). Była to więc inauguracja wskrzeszonego po roku 1864 teatru polskiego w Wilnie.

Ten też W. hr. Tyszkiewicz pierwszy w Wilnie zainicjował założenie w naszym grodzie muzeum wiedzy i sztuki. Jakoś w r. 1906 w maju gdyśmy się z nim spotkali w gościnnej Wac. Tyszkiewiczowskiej, szanowny dzie- dzie z pobliskiego Landwarowa zwró-



Obraz szkoły holenderskiej przez Baclaera, dar hr. Wł. Tyszkiewicza

cił się do mnie z prośbą o poparcie śmiałego jego a tak sympatycznego projektu w sprawie wspólnego, wraz z innymi miłośnikami sztuki i pamiątek narodowych, ufundowania w Wilnie oddzielnej instytucji. Jakoż wkrótce poruszyłem w specjalnym artykule, umieszczonym w Kur. Litewskim sprawę konieczności założenia w Wilnie muzeum sztuk pięknych łącznie z działami archeologicznym, bibliotecznym i t.p. Tak więc daliśmy początek dyskusji na ów temat w prasie polskiej, w której przyjęli udział: Wandalin Szukiewicz, art. mal. Fr. Jurjewicz, mec.

muzeum, a zbiory umieszczone były początkowo w kamienicy Zofii hr. Tyszkiewiczowej przy ul. Trockiej, (jak wiadomo gmach ów okazały, położony wprost murów Franciszkańskich zbudowany został według planu prof. W. Gurewicza.

Jesienią tegoż roku pierwsze zbiory T-wa M. N. Szt. zawarte w gablotach, oraz duża ilość dzieł sztuki, przewiezione zostały do pałacu ordynackiego Klementyny hr. Tyszkiewiczowej, gdzie znalazły już stałą lokatę i gdzie się rozpoczęła właściwa organi-

Wyczynia w powietrzu piruety

Pisze rogami na plafonie triolety,

Wnet rozwałł cały dom do znaku

I polecł szukać szlaku....

Zodyjaku.

Cieszę się, ach szalenie że brykasz i bodziesz, Ześ takim jest nonsensem, że w śnie moim brodzisz, Ze zrobisz w starym salonie zamęt, Ze się na twoje figle podniesie w nim lament, I że twoimi skoki Przebijesz obłoki.

I firmament,

Gdzie ciotki i plotki jak konstelacje od wieków tkwią, Jak planety, co niewzruszenie, zawsze były i są... Ty im Apokaliipsę pokąszesz tańcząc,

A ja się będę śmiać, śmiać, aż ciotki, plotki i dewotki Splotą się, poplącą i roztrącą.... Rozmniać się wszystkie kotki, Pieski aż pod strop niebieski zawyją

Scigając dziwną bestyję! A ja się na śmierć zaśmieję, Jak świat wreszcie oszaleje!

zacja rozmaitych działów muzealnych instytucji.

Ustawa T-wa M. N. i Szt. przywidywała liczbę 15-tu założycieli, obowiązanych zaofiarować na rzecz stwarzanej przez nich instytucji, albo pewną ilość dzieł sztuki, zabytków archeologicznych, książkowych rękopisów i t. p., na sumę nie mniejszą jak 500 rubli, według szacunku, dokonywanego przez prezydium T-wa i kustosa zbiorów, albo wpłacenia 500 rubli w gotówiznie, nad to każdy z założycieli zobowiązywał się do spłacania corocznie 50 rub. składki członkowskiej. Do najpierwszych członków założycieli T-wa oprócz inicjatorów jego Wł. hr. Tyszkiewicza, L. Uziębły i Ant. hr. Tyszkiewicza, którzy złożyli przedewszystkiem wysokiej wartości okazy muzealne, (podobnież cenny zbiór dzieł sztuki i innych obiektów złożył właściciel ziemski p. Emanuel Bułhak, zaś 500 rub. udzielił założycielskie imnieśli: Józef Motwił, Stan. Ciechanowicz, gen. Waldemar Słizień i Marjan hr. Plater. Później

uścili się ze swych zobowiązań założycielskich: Tadeusz hr. Rożnowski, Hieronim Kieniewicz i Michał hr. Tyszkiewicz z Wołożyna.

Jeżeli najszacowniejsze dzieła sztuki zaofiarowali Wł. hr. Tyszkiewicz, mianowicie kilka obrazów z wieku przeważnie XVII pendzla mistrzów Odrodzenia, oraz Emanuel Bułhak, ofiarodawca pięknej rzeźby marmurowej A. Madejskiego i akwareli Kwiatkowskiego „Szopen na łożu śmierci” etc., zaś Ant. hr. Tyszkiewicz, który pierwszy stworzył w muzeum dział najrzadszych druków i manuskryptów, to za to niżej podpisany, jako bardzo skromnie opłacany kustosz, a bezinteresownie pracujący w charakterze sekretarza komitetu, bibliotekarza i stałego zastępcy skarbnika, zapoczątkował swoimi darami retrospektywny dział malarstwa wileńskiego. Tenże następnie powiększa odnośne zbiory zgromadzając nader liczne dary od sympatyków tej instytucji, a nadto wydostając z Warszawy i innych miejsc dzieła sztuki, przeważnie nowoczesnej i głównie przez samych artystów naszych zaofiarowywanych.

Założone przy niniejszym reprodukcje obrazu mistrza holenderskiego w. XVII Bancklaera „Handlarze wazryw” i autoportret art. malarza wileńskiego Karola Rafałowicza z r. 1858 są to najpierwsze dary dla Muzeum Nauki i Sztuk Pięknych w Wilnie Wł. hr. Tyszkiewicza i L. Uziębły. Muzeum prowadzone było naukowo wyłącznie nie przez kustosa.

Sulimczyk.

Wśród książek o wojnie

Arnold Zweig: „Spór o sierżanta Griszę”; Ernest Glaeser: „Rocznik 1902”. Towarzystwo wydawnicze „Rój” Warszawa 1930.

Najnowsza beletrystyka niemiecka, mająca za treść wydarzenia wielkiej wojny, a tendencje wybitnie pacyfistyczne, wyszła z pod znaku głośnej książki Remarque’a: „Na zachodzie bez zmian”, przetłumaczonej na język polski przez Stefana Napierskiego, a wydanej nakładem „Roiu”.

O Remarque’u pisano, mówiono i dyskutowano wiele. Pacyfizm stał się pojęciem aktualnym, terminem modnym. Dość wspomnieć chociażby o dwóch interesujących artykułach w kwestii pacyfizmu, które ukazały się na łamach „Wiadomości Literackich” na pocz. rb.: Józefa Wittlina: „Ze wspomnień byłego pacyfisty” oraz replikę Mieczysława Szczerzyńskiego: „Pacyfizm w opactwie”. Zabierał parę razy głos w tej sprawie — także Antoni Stonimski w swych dowcipnych a często zjadliwych, „Kronikach tygodniowych”.

Literatura tak zwana wojenno-wspomnieniowa nie miała bezpośredniego po wojnie powodzenia. Ludzie, mający dość własnych, nieraz okropnych wspomnień i przeżyć z wojny, czuli odrzucie do ich wywoływania.

Pacyfizm zawarty w dziele Remarque’a, zjawiający się po pewnym czasie gdy świeżość przeżyć wojennych zaczęła się nieco zacięrać, a wystąpiło na widownię młode pokolenie, które przeważnie wojny nie przeżywało, w sposób czynny — ów pacyfizm wywo-

łał poruszenie, jako zrozumiała reakcja przeciwko grozie i okrucieństwu wojny.

Zjawiają się przedewszystkiem w Niemczech satelici Remarque’a, którzy tak, czy inaczej, hasła pacyfizmu propagują.

Książka Arnolda Zweiga powinna specjalnie zainteresować wszystkich Polaków, zamieszkujących ziemie północno-wschodnie Rzeczypospolitej. Jest ona bowiem z naszą ziemią ściśle związana. Zwłaszcza ci, którzy bliżej interesowali się podczas okupacji niemieckiej polityką i gospodarką tak zw. Ober-Ost, znajdą wiele ciekawych szczegółów w powieści Zweiga, a co najważniejsze — nietrudno im będzie o sprawdzenie, jak się też autor zachowywał w stosunku do faktów historycznych, jak oświecił postępowanie swoich współziomków na okupowanym terenie.

Właściwie, jeśli chodzi o stosunek władz okupacyjnych do ludności naszych ziem podczas pobytu Niemców — powieść tego zupełnie nie podaje. Wypadki tam opisane rozgrywały się na terytorium ściśle niemieckim — terytorium w znaczeniu nie obszaru, ale gromady ludzkiej, społeczności. Jedyną prawie postacią, poza Niemcami jest Grisza, jednocześnie bohater powieści, jeniec rosyjski zbiegły z niewoli niemieckiej. Pozatem — kilka innych postaci, występujących mniej lub więcej epizodycznie. Nie widzimy życia ludności krajów okupowanych — powieść nie przedstawia nam ich życia, miejscowego starosty Tärje które go opowieści z biblii umiejętnie zastoso-

wane są do tendencji pacyfistycznych. Ze wszystkiego widać, iż autor pra-

wuje życie w tych koszarach. Między koszarami i sztabem koncentruje się akcja powieści. Autor odgrdył świat niemiecki napływowy grubym murem od świata ludności miejscowej i niechętnie pozań wзира.

Motywe idealnym powieści jest walka między prawdziwym honorem i sprawiedliwością przedstawicieli szlachty pruskiej, którą reprezentują von Lychów i Winfried (dwa pokolenia) z karjerowiczostwem i despotyzmem w armii niemieckiej, którą odzwierciedla Schieffenzahn. Drobny fakt, — właśnie sprawa owego zbiegłego jeńcy Griszę, jest punktem ciężkości o który cała walka się opiera. Sprawa stracenia niewinnego człowieka jest wynikiem bezwzględności prawa które podczas wojny nie uznaje jednostek.

Z walki pomiędzy sprawiedliwością w armii niemieckiej a zaborczym despotyzmem wyprowadził autor jako konkluzję tendencję pacyfistyczną. Wojna zabija indywidualność człowieka, pastwi się nad jednostkami, zamienia ludzi albo w automaty, albo zwierzęta. Rzecznikami pacyfizmu są żydzi, którzy występują w powieści dość licznie. Nasuwa to pewne przypuszczenie co do osoby autora. Autor podkreśla dyskretnie wybitnie rozwinięty instynkt samozachowawczy u żydów. Pisarz Bertin, który jest zdolnym literatem, w wojsku znalazł się w charakterze prostego szeregowca i to upakował, jego ambicję. Ale dekuje się rozyznajnie. Oryginalne jest też stanowisko biednego żyda, miejscowego starosty Tärje które go opowieści z biblii umiejętnie zastoso-

wane są do tendencji pacyfistycznych.

gnie zrehabilitować panowanie Niemców w Oberosie.

Jeżeli nawet jakiś Niemiec, wyrwawszy się na urlop, przemycia pod ławką wagonu ładunek żywnościowy dla żony w Heimacie, to tylko dlatego, że ona tam przyniera głodem. Przez zaciśnienie akcji wyłącznie do Niemców na terenie ziem wschodnich — autor był zwolniony od wielu spraw i zagadnień, któreby musiał rzucić inne światło na okupantów. Najwięcej został zrehabilitowany żołnierz niemiecki. Stosunek żołnierzy niemieckich do jeńcy rosyjskiego wybitnie podkreśla bezradność i prymitywność doświadczeń tych wszystkich ludzi w obliczu wojny. Pojęcie sprawiedliwości jest u nich jakby instynktem wrodzonym. Oddaleni od frontu tracą zwierzęcą manję zabijania a nie chcą strzelać do skazanego na śmierć.

Psychologiczna strona powieści jest narażenie nieco przytłumiona przez szeroki zakrój akcji. Później zaczyna występować równolegle. Pojedynczy słowny v. Lychowa z Schieffenzahnem jest też wymownym wskazówką autora jak często duch szlachetności pruskiej musiał kapitulować na terenach okupowanych wobec krwiożerczej zaborczości innych czynników.

Bardzo trudnym zadaniem było pokuszenie się wnikięcia niemieckiego autora w psychikę prostego chłopca rosyjskiego mającego świadomość zbliżającej się bezwzględnej a okrutnej śmierci.

Autor musiał prawdopodobnie sam taki typ obserwować — wydobyl bo wiem z postaci Griszę wiele prawdy psychologicznej, zwłaszcza ów filozoficzny spokój, z jakim Grisza gotuje się

na śmierć — dobrze oddaje typową bierność chłopskiej duszy rosyjskiej, za bity od wieków, tyranią i despotyzmem carów.

Konstrukcja powieści dużo pozostawia do życzenia. Cały wstęp, opisu akcji ucieczkę Griszę z obozu jeńców aż do akcji właściwej — jest przedługi. Czasem nużące są dialogi. Naogół książka jest zajmująca, ale wywiera wrażenie przynęcającej. Przekład dobry.

Zarówno powieść Zweiga, jak i Glaesera w przeciwieństwie do Remarque’a nie opisują frontu wojennego. Starają się pokazać wojnę od strony odwrotnej, nie zmniejszającej zresztą wcale jej grozy.

Glaeser napisał swoją powieść w formie pamiętnika, aby przez to spotęgować wrażenie bezpośredniego doznania u czytelnika.

Są tu niejako dwa wątki powieści: motyw wojny i motyw miłości. Oba na razie występują w sposób kinetyczny. Młodym chłopcom, bohaterom powieści znana jest wojna z lektury, jako tajemnica, nieznana wyobraźni i miłość, jako sekret nieznanego zmysłu.

Sposób dojrzewania płciowego jaki przedstawia autor nadawał by się do porównania z tą samą kwestią którą za jąta się u nas Krzywicka w niedawnym omówionej powieści: „Pierwsza krew”.

Małe miasteczko niemieckie, które opisuje autor przed wojną, i podczas wojny jest obrazem prowincji niemieckiej w pomniejszonym zwierciadle. Stosunek do wojny i pokoju różnych warstw społecznych jest bardzo znamieny. W sferach inteligencji urzę-

dniczej występują nawyki burżuazyjne; w warstwach robotniczych — socjalistyczne.

Wybuch wojny, powodując nienawiść do Niemiec państw ościennych, zaciera narażenie różnic klas. W zapale obrony Niemiec i upojeniu wskutek pierwszych zwycięstw wszyscy są przyjaciółmi.

Pisana w formie pamiętnika powieść Glaesera nie potrzebowała zważać trudności kompozycyjnych.

O ile Remarque przedstawia front wojenny, Zweig tyły wraz z koszmarami i życiem sztabowym — o tyle Glaeser opisuje ową „Heimat”, opuszczoną ojczyznę niemiecką, kobiety starców i dzieci, których ojców dziesiątkuje wojna, a matki trapi głód i martwota, wycieńczonego wojną wnętrza kraju.

Element erotyczny nieraz jaskrawej i zbrutalizowany nie nosi jednak cech perwersji. Ciekawie traktowany jest problem koleżeństwa. Czasem znajdujemy tu echa dydaktycznej starej powieści Amicisa „Serce”.

Przekład Wata śmiały i niepozabawiony zalet stylistycznych.

Wydawnictwa „Roiu” należą do najruchliwszych w Polsce. Wydają dzieła literatury zagranicznej udostępniają jej szerszej publiczności, zachęcając jaskrawymi ale gustownymi okładkami. Papier dobry i przyjemny druk składają się na wykwintną i barwną szatę zewnętrzną książki.

„Rój” wydał też między innymi jedno z arcydzieł T. Manna „Czarodziej ską górę”, powieść w czterech tomach o której napiszemy wkrótce. J.W.P.

Pamiętnik warszawski

I
Szczęśliwą miał myśl ten, kto zakręcał się dokoła stworzenia czasopisma periodycznego nauki i literatury poświęconego, którego brak dotkliwie odczuwano, że zwłaszcza o czasu, kiedy przestał wychodzić „Przegląd Warszawski”.

Stwierdzając brak czasopisma literacko-naukowego, mam na myśli pismo o charakterze ogólnym, fachowe bowiem pisma, poszczególnym gąsziom wiedzy służące, pędzą u nas swój żywot suchotniczy bez przerwy, natomiast wychodzą z druku z przerwami czasu aż nadto długimi.

Rozkwit czasopism ogólnych, otwierających szeroko tematów współczesnego życia kulturalnego łamy swoje, znamionuje zazwyczaj okres wzmożonego tempa życia umysłowego kraju. Był w Polsce czas, w zaraniu naszych dni niepodległości, że coraz to więcej powstawało czasopisma periodycznych — aż okres reformy walutowej i stagnacji gospodarczej zahamował rozpęd wydawniczy, prześcigający naonczas istniejące potrzeby umysłowe społeczeństwa. Teraz dopiero (z powstaniem „Pamiętnika Warszawskiego”, „Niepodległości”, „Spraw Obcych” i t. d.) znalazł się poza nami okres zastój wydawniczy w zakresie czasopism, a wchodzimy — czy na długo? — w inny: masowej produkcji ich przy minimalnej konsumpcji umysłowej i nie wielkiem zapotrzebowaniu intelektualnym.

O tym braku minimum czytelników stałych (a właściwie prenumeratorów) świadczy upadek tak doskonałego miesięcznika jakim był „Przegląd Warszawski” za redakcji Wacława Borowego a następnie Borowego i Kołaczewskiego. Okazało się, że „wśród oświeconego ogółu wielomilionowej w Polsce ludności, w kraju, w którym mamy około 800 szkół średnich, nie znalazł się bodaj jeden tysiąc osób, odczuwających rzeczywistą potrzebę istnienia miesięcznika o typie „Przeglądu Warszawskiego”.

Tak tedy wytrwał na posterunku aż do chwili ostatniej jedynie „Przegląd Współczesny”. Redakcja „Przeglądu Warszawskiego” zamknięta smutnym postowiem — w roku 1929 — zeszyt 51 i ostatni pisma wyraża życzenie „oby pomyślne zmienił warunki życia polskiego, pozwolił w najbliższej przyszłości bądź na wskrzeszenie Przeglądu Warszawskiego, bądź na powstanie innego pisma o doskonałej może postaci, ale o tym samym charakterze”. A wiadomo, że „Przegląd Warszawski” był pismem, oddanym wyłączenie niemal kulturze humanistycznej. Zaletą jego trwałą i w naszych warunkach wręcz wyjątkową było to, że znakomicie miał postawiony, obok działu rozpraw, dział informacyjno-sprawozdawczy i krytyczny. Ów dział krytyczny przegladu — był wkładem bardzo cennym do młocarni polskiej kultury. Rozróżniano tu ziarną od plew, wytyczając potrzeby literatury i nauki. A obok doskonale prowadzony dział „Ruchu literackiego w czasopiśmie” krytycznie zestawiał pozycje literackie w prasie, ułatwiając orientację w tem, o czym i co pisać „po gazetach”.

II

Redakcja nowego kwartalnika, dziś już miesięcznika, nazwą swą nawiązała do dawnej pamięci „Pamiętnika Warszawskiego”, który przed stu zgorą laty istniał pod tą nazwą z parokrotnymi przerwami. Proi. Ujejski w rozprawie o antenatach Pamiętnika, wyraźnie nawraca nie tylko do nazwy, ale chce również by nowy Pamiętnik odegrał podobną, doniosłą rolę w życiu naszym umysłowym. I charakteryzując oraz oceniając dorobek dawnych „Pamiętników Warszawskich” a zwłaszcza tego, co w latach 1815—23 tak żywą rolę odegrał w dziejach naszych

prądów literackich i społecznych, nie podniósł wyraźnie tej strony „Pamiętnika Warszawskiego”, która nadała mu cechę wprost reprezentacyjną. Mówię o zagadnieniu oblicza ideowego tego pisma w zakresie prądów społeczno politycznych i socjologicznych.

Ów „Pamiętnik Warszawski” powstał, jak wiadomo, z potrzeby istnienia pisma periodycznego naukowego, nieistniejącego od roku 1810. Znany księgarz i wydawca wileński — Zawadzki wydał odezwę, F. Bentkowski podjął się redagowania, wychodząc ze słusznego założenia francuskiego pisarza, iż „jedną z najprostszych dróg, prowadzących do bezczynności, jest ustawiczna obawa aby źle nie robić”. Dwudziestu autorów miało nadeść swe prace bezpłatnie — by można było zapoczątkować wydawnictwo; dalsze prace miały być opłacane, no i liczone, jak zwykle w takich okolicznościach, na poparcie czytającej publiczności.

Już w t. I „Pamiętnika” (z r. 1815) autor X. S. poruszył jedno z aktualnych podówczas zagadnień. Artykuł jego zatytułowany „O żydach” żąda humanitarnego stosunku do nich, jako do ludzi. Trzeba im dać, zdaniem autora, równość, i opiekę prawa zrównać w podatkach z ogółem ludności, i wymagać ulegania przepisom obowiązującym wszystkich. Rzecz wreszcie myśl wyznaczenia pewnych prowincji na państwo żydowskie.

A tuż obok artykuł drugi: „Uwagi nad myślami do zamiaru polepszenia bytu włościan”. Autor, gen. dyw. Amikar Koniski, powołując się na słowa Czarotoryskiego, iż „póty nas Europa o nędzy anarchicznej i winy obrażonej ludzkości oskarżać nie przestanie, póki stan wieśniaczy z nędzy dźwięgniętym nie będzie” twierdzi, że „wolność osobistą i własność uznać na wolność przemysłu i najdzielniejszą sprężynę szczęścia”. I dalej rozwija szczegółowy program społeczno-gospodarczy. Zasluguje na podkreślenie okoliczność, iż autor przeprowadza **junctum** pomiędzy kwestią włościańską i żydowską, uważając żydów za zapórę do poprawy dołi chłopów. Radzi żydom przenieść się do Palestyny. Proponuje jednak środki łagodne, bo widzi ujemne skutki wygnania żydów z Hiszpanii.

Te dwie sprawy — włościańska i żydowska — będą odąd stałe poruszane w „Pamiętniku Warszawskim” jak gdyby przyświadczając słusności słów generała o zachodzącym pomiędzy nimi **junctum**. Ich stałe poruszanie oświeclanie i roztrząsanie świadczy wymownie, iż pismo usiłowało — obok nauki i literatury dotykać zagadnień aktualnych w formie poważnej i w duchu liberalnym. Jak aktualne to są, jak głęboko w życie sięgające zagadnienia — widzimy to po stu z okładem lat, które nie rozstrzygnęły ich ostatecznie w życiu.

Tak tedy „Pamiętnik Warszawski” Bentkowskiego nie uchylał się od poruszania zagadnień aktualnych, społecznych, państwowych.

Jak jest w tej mierze z jego „następca”, czy imiennikiem? „Pamiętnik” Berenta w tym zakresie dał jeden ze swych najlepszych, skomponowanych mądrze a wnioskujących w najaktualniejsze zagadnienia współczesnej kultury, zeszytów (II). Jeśli chodzi o inne zeszyty — grzeszyły one brakiem jednolitej koncepcji redakcyjnej, choć wszystkie stały na bardzo wysokim poziomie. Jest to bodaj wada wszystkich, nie tylko u nas, czasopism periodycznych, że stanowią rodzaj magazynów, w których wszystkie można dostać — co się komu zamarzy: obok wierszy i noweli — artykuły krytyczne, sprawozdania, kronika — a nie prawie niepowiązane wspólnością tematu, idea główna.

„Pamiętnik Warszawski” był na dobrej drodze w zeszycie II: nawracał

JADWIGA WOKULSKA

Z cyklu „Posiew Boga”

Nie wiem, dlaczego, stworzyłeś mnie Panie?
Nie wiem, co począć w labiryncie świata —
Nie wiem, czym gardzę — ku czemu się skłaniam
I skąd uciekam — i dokąd kołatam?

Prawda — ukryta w odwiecznej legendzie.
Nad jej zagadką strudzona się biedzę.
Póki mnie miłość Boska nie odpędzie
I zwolni z więzów odwiecznej niewiedzy.

*

Boże, wyrzeknij jedno tylko słowo!
Daj znak niebieski z niewidzialnych tronów...
Zakwitnę zaraz drzewem migdałowem,
Kwiatów stubarwnych pachnącą koroną!

Serce się szybko dla świata otworzy,
Płucą szeroko oddechu nabiorą
I dobroć wielką, mocarną jak morze
Zamieszka we mnie — dumą i pokorą.

III

do tradycji swego antenata, wyróżniał się dbałością redakcyjną i ogarnięciem nurtujących nas problemów.

Jakiem więc ma być pismo periodyczne, kulturze humanistycznej poświęcone? Pytanie to było już stawiane „Pamiętnikowi Warszawskiemu” z przed stu lat.

W tomie II z r. 1815 znajdujemy słuszny w założeniu i ciekawy list do wydawcy „Pam W.”. Autorowi chodzi o to, by „Pamiętnik” dawał obszerny dział krytyczno-recenzyjny z ruchu literacko-naukowego. Przy tej sposobności autor daje taką definicję pism periodycznych i tak określa ich znaczenie: „Pisma periodyczne uczone tem są dla literatury, dla umiejętności, nauk i wynalazków, / czem są gazety dla wypadków politycznych: / jak i te podają do wiadomości dzieje obecne, tak pisma periodyczne literackie w świecie uczonym ostrzegają o wielkich na nim nowościach, o wzroście jako wej umiejętności, uwiadamiają o plodach dowcipu, o nowych twórcach w pięknych sztukach, w naukach i późniejszych wynalazkach; tym sposobem utrzymują ten związek, który zachodzi między uczonymi wszystkich narodów.

W odpowiedzi na ten list, pisze redaktor „Pam. Warsz.”, iż nie może w całości zastosować się do rady autora listu ze względów merytorycznych i technicznych. Uważa, iż to jest zadaniem pism krytycznych a nie ogólnych, pobudzających do lektury i informujących o sprawach zasadniczych. Zwolennikiem jest pisma rzeczowego, nie specjalnie krytycznego. Wreszcie stwierdza redaktor, że w wyborze materiału ma na względzie „nie samych literatów z powołania ani też idiotów wiejskich, lecz czytelników pośredniej (!) klasy”. Wybaczając redaktorowi ten niefortunny sposób określenia czytelników jego pisma przyznać należy, że dobrze uchwycił zadanie czasopisma ogólnego: ma ono służyć „klasie pośredniej” — to znaczy ogółowi inteligencji i czytającej publiczności.

Zachodzi tylko pytanie, co „ogół pośredni” chce czytać?

„Przegląd Warszawski” naprzykład nie był pismem dla tego „pośredniego ogółu”, który znaleźć możemy w rozpięciu oznaczonym z jednej strony „literatami z powołania” z drugiej „idiotami”. Wymagał on od swych czytelników dużej kultury naukowej i literackiej, sporego zainteresowania dla zagadnień kultury humanistycznej. Tak samo niektóre zeszyty obecnego „Pamiętnika Warszawskiego” żądają wysokiego poziomu intelektualnego u czytelników. I słusznie.

Należy tylko zdecydować się na typ wydawnictwa. Zdać się, że informacja w najpierwszym zakresie wraz z działem sprawozdawczym odpowiednio postawionym, powinny być wytyczną dla czasopisma. A tego mu jak dotąd brak.

Przeto słuszną będzie rzecz pro-

Wiem już, że stamtąd nie nadejść nie może,
Bo wszystkie drogi ślepe i zamknięte.
Na Twoim szlaku roziągając się Boże
Płachtą pokory zbrukana i zmięta.

Bez Twojej pomocy nie widzę sposobów,
Bez Twojej łaski — kłęski mnie pochłona.
I tylko — jeśli zasłonię się Tobą
— Kiedyś radością będę napełniona.

*

Stworzyłeś Panie serce tak małeńkie
Ale zarazem tak niezłomnie silne.
Codziennie baczne na szmery i dźwięki
Zawsze nieufne, czujne, a omylne.

Serce człowieka wiele przenieść może
I wcale łatwo tak z bólu nie pęka.
Szaleć cierpienia podważyłeś Boże
Nad sercem mojem — sprawiedliwą ręką.

P S Y C H O Z A

Są naprawdę ludzie, liczni nawet bardzo, którzy nie mając widocznie prawdziwych zmartwień i kłopotów, stwarzają sobie urojone i chętnie im się poddają...

Obserwuję w ostatnim czasie z pewnym zaciekawieniem, ale zarazem bez zazdrości — osobliwy ruch zabobonny, który szerzy się z zatrważającą siłą i przybiera rozmiary niepojęte. Nazwałbym to krótko „amerykańskim humbugiem”, bo zarazę tę przywieźli do Europy amerykańscy żołnierze i oficerowie podobno w czasach wojny. Zarazę polega na tem, że jakiś tam yankee, w miarę religijny (po swojemu) i w miarę zabobonny — zaszczepia pewnego dnia pierwszego bakcylię: pisze do znajomego: „Zycze ci szczęścia i bogactwa: zycze tego samego 9 swoim znajomym i posłaj im takie same listy a ta dziewiątka znów niech uczyni to samo — każdy wobec 9-ciu dalszych”. I z takiej jaczki w postępie arytmetycznym rośnie tłum, wyraza kolosalna rzesza, która bawi się przepisywaniem kartek i bezmyślnym wysyłaniem kopii na maszynowych białkach...

Nie dość na tem! Listy takie zawierają zapewnienie (pod słowem niemal honoru), że kto spełni postulat rozesłania kopii, tego w ciągu 9 dni spotka szczęście. Kto nie spełni — tu następuje ponura wróżba, jak z ust cygańskiej wiedźmy — tego nieszczęście dotknie w ciągu tychże 9 dni.

Dlaczego dziewięciu? Co to wszystko znaczy? Kto na tem zarabia? Co ma znaczyć ta idyotyczna kabalistyka, ta metna ciemnota gusiel, szerzonych przez inteligentnych ludzi? A jeżeli ktoś jest mizantropem i źle żyje z ludziami — to go odmienni 9 świętokrzepianych według szablonu? A bez tych kartek nie można dobrze życzyć znajomym?

Kto na tem zarabia? Naturalnie poczta, oraz fabrykanci papieru. W ciągu jednego tygodnia — nie do wiary — otrzymałem pięć takich pism, 4 po polsku i jedno po włosku. Z tego mogę wysunąć przypuszczalną cyfrę astronomiczną tego deszczu kartek podobnych, jaki fruwa sobie po Wilnie, po całym kraju, po Europie i po świecie... Tysiące, miliony, miliardy, sekstyliony! Strach pomyśleć. Nazywa się to szumnie „łańcuchy szczęścia” — coś w guście kolejni górskiej lub poczty japońskiej. Tylko że te zabawy są wesole, a ów zabobon amerykański napawa człowieka szczerym smutkiem. Jeszcze jedna choroba wojenna. Na każdej z kartek, jakie otrzymałem, są długie kolumny nazwisk, czasem bardzo poważnych. Jedni widocznie podpisują się ze strachu, inni „dla kawału” — i wysyłają dalej. Czasem prosto fałszuje się nazwiska sławnych ludzi, np. Karola

się redakcję o uwzględnienie tych dezzyderatów, a ponad to o wprowadzenie działu przegladu literatury i krytyki w prasie codziennej — czem celował w tym zakresie „Przegląd Warszawski”. Przegląd, informacje, sprawozdania — to podstawa. Rozprawy, nowele i poezja — to ozdoba. Tak wyobrażam sobie zadanie i cel „Pamiętnika Warszawskiego”.

Wiktor Piotrowicz

— A nu ją tę Rosję! Nam chleba, by, mięsa, a nie głupstw żadnych. Na jakiego mnie czorta Rosja wasza? A? — Jak wam nie wstyd, towarzysko! Uszy puchną od waszego gadania. — Tak zostawcie mnie! odczepcie się! Mnie waszych mądrości nie trzeba.

Obie Rosjanki pokazywały sobie plecy i próbowały nawiązać rozmowę z Ludką, która odpowiadała półgębkiem, przeżuując treść ich rozmowy polskimi, chciwymi zębami. Z bródą wtozoną między palce młoda dziewczyna sumowała wszystkie więzienne wrażenia, starając się być obojętną o ile jej na to najpierwsza młodość pozwalała. Rezultat wypadł dla Rosji bardzo ojemny... Wielkie państwo było podmiotowane przez własnych obywateli... Tylu było niezadowolonych! Nawet Marusię wesoła rewolucyjna podziemie! Może już zdaleka nadbiega czar na chmurę, z której wypadnie jaskrawa zygzał rewolucji? Jakże mądrym jest Stefan, nawołujący do czynnego pogotowia!... O, jakżeby słodko było przypaść bijącym sercem do czarnej ziemi oczyszczonej i czuć ją w rozpostartych ramionach wolną, wolną, wolną... Lecz wolność jej z nieszczęścia Rosji jest pocznie! Dlaczego Rosji? Z nieszczęścia państwa rosyjskiego. Czyż na ród rosyjski, aby żyć, koniecznie musi kogoś dławic? Wcale nie... Ale, że

Szymanowskiego. Ponieważ nie mam papieru na psucie, ani czasu na marnowanie — kartki znalazły się w koszu. Z przyjemnością przerwałem w jednym tygodniu pięć łańcuchów szczęścia i — teraz czekam z zaciekawieniem, jakie to mnie pięć nieszczęść w tych mistycznych dziewięciu dniach spotka... Już 5 dni przeszło, pozostało jeszcze 4 dni przesądu, lęku i zjezonych włosów... Brrr...

Wyjmuję jeszcze raz na chwilę z „kosza” taką epistolę i czytuję: „Zyczenia szczęścia i zdrowia. Kontynuuj ten łańcuch. Napisz 9 obitek i posłaj do 9 najinteligentniejszych osób z twoich znajomych i przyjaciół (dlaczego nie właśnie do najgłupszych...?), którym dobrze życysz. Ten łańcuch zaczął się we Flandrii (aha!) od pułkownika amerykańskiej artylerii (aha!) i musi obejść cały świat trzy razy dokoła! Dlaczego nie 9 razy? „Posłaj go dalej, o ile możesz w ciągu 24 godzin od chwili otrzymania...” „Nie złam tego łańcucha, mogłoby Ci to przynieść nieszczęście przez 9 następnych dni (licz dni). „Ani myślę! Szanowna Piłto, przemawiająca do mnie z jakichś ciemnych dymów amerykańskich — mówisz „mogłoby Ci to przynieść nieszczęście” — ? Na to potrzeba karteluska? „Mogłoby” ależ **wszystko**, „może” przynieść nieszczęście! I na to mi, Piłto, przysłał kartkę? I to się nazywa „do brze życzyć”. Dziękuję...

I dalej: „Zupełnie się zdarzy i uraduje Cię niezmiernie...” O sancta simplicitas! „Jeśli weźmiesz to za żart i nie posłesz kopii!” — już wziąłem za żart i nie posłałem i nie posłę nigdy, przyczekam... — „nieszczęście może Ci się przytrafić”. I bez tego może. „Przepowiednie zawsze się sprawdzały” na stepu przykłady: „Ks. Varres di Victoria 9 dnia wygrał los na loterii 200.000 lirów. Pana Willesa dom został zburzony 8-go dnia, bo nie wziął poważnie tego łańcucha. Mrs. Not. Libsen straciła jedynego syna... Sacha Guityr wygrał 25.000 dolarów. Pola Negri, dzięki łańcuchowi wyszła za księcia Mdivani” — i tak dalej. Przyjrzyjmy się tym przykładom. Nie mam przyjemności znać księdza Varresa di Victoria — ale ładny to musi być ksiądz który się taką kabałą bawi i w wygranych lirach upatruje szczęścia! Nie mam domu własnego ani losu loteryjnego, więc mnie te drugie przykłady nie wzruszają. Mistycznej mrs. Libsen też na oczy nie widziałem. A co do Poli Negri? Wiem, że wyszła za księcia Mdivani, ale doobno na tem źle wyszła... Więc jakże to było z tym łańcuchem?

Jest takie starożytne przysłowie o głupocie, z którą nawet bogowie walczą naprzód. Gdyby tak ci sami zaciuci ludzie, którzy ulegają owczemu pędowi amerykańskich humbugów i zabawiają się godzinami przysywanymi takich bzdur — gdyby ci sami ludzie tenże czas poświęcili dobrej książce, albo rozmyślaniu, czemuby naprawdę mogli się przyczynić do szerzenia miłości wśród ludzi... Pomyśleć, że chcąc uniknąć „nieszczęścia”, musiałbym na skutek tych 5 łańcuchów zasiąść i sporządzić 45 odpisów. Ile w tym samym czasie można zrobić rzeczy naprawdę mądrych, dla bliższych żyjących i pożytecznych.

W kilka dni po tamtych pięciu „katebach” otrzymałem szóstą, zupełnie odmien-

nego charakteru. Tekst tej w skrócie brzmi tak:

„Ja zwolennik niezawisłości gospodarczej Polski, zwracam się do was, którym dobro Ojczyzny leży na sercu, a przedewszystkiem do was, piękne i zające panie, abście wzięły wezwanie moje do serca i posłuchały: Ku pucje tylko wyroby krajowe! Obecnie wydajemy 1 miliard złotych rocznie na kupne obcych towarów. Kosztem naszej wytwórczości bogaciemy obcy przemysł i handel, sami ubożejemy, utracamy nasze warsztaty pracy i wytwarzamy rzesze bezrobotnych. Kto nie przepisze 9 razy tego listu, ten zagrożony będzie do końca dni swoich w morzu czarnej melancholii. Jeśli będzie chciał się ożenić, znajdzie żonę, która mieszkać będzie w sali dancingowej. Jeżeli będzie chciała wyjść zamaż, jej małżonek niechybnie będzie skończonym rzeźmieszkim... i t.d. Przepisz 9 razy i posłaj dziewięciu znajomym. Niech ta formula obejrze 9 razy całą Polskę...”

To co innego. To przynajmniej ma sens, w tem jest zdrowa myśl społeczna. Ale te amerykańskie „kateny”, jak się okazuje, są zmorem całej Europy. W Norwegii prasa podjęła ostrą walkę z beznamięsną plagą. Zabrała głos także laureatka Nobla, Sygryda Undset — i powiedziała takie słowa:

„Pragnę pocieszyć wszystkie osoby lekkomyślne i nerwowe zapewnieniem, że ja sama przerwałam „łańcuchy szczęścia” przeszło dwadzieścia razy i nie ści agnęłam tem bynajmniej na siebie żadnych nieszczęść, o ile nie mam uważać za nieszczęście nagrody Nobla; pamiętam bowiem dobrze, że w dniu przyznania tej nagrody rzuciłam do kosza list łańcuchowy.

Potrąfię nawet do pewnego stopnia wspolczuć z przesądami, o ile można je usprawiedliwić cieniem chociażby zdrowego rozsądku; irytuje mnie jednak, kiedy widzę, że ludzie tracą czas i pieniądze na coś tak bezzasadnie idyotycznego, jak „listy łańcuchowe”.

W dodatku uważam je za wysoce szkodliwe dla umysłów słabszych i dlatego proponuję, aby opodatkować wszystkich przepisyujących i rozsyłających podobne listy na rzecz domów zdrowia dla tych, których mózg doznał szwanku wskutek otrzymywania niemądrych przesylek”.

Jeden z takich „łańcuchów szczęścia” do tartał do pisarza węgierskiego, Franciszka Herczego. Zauważywszy na otrzymanej kartce między innymi nazwisko Bernarda Shaw’a, zwrócił się do świętego pisarza z prośbą o wyjaśnienie, czy rzeczywiście podpisywał się na takich świstkach i rozsyłał kopie. Odpowiedź Shaw’a była następująca:

„Wielce Szanowny Panie, Nigdy nie podpisywałem się w żadnym „łańcuchu szczęścia”, ani nie przysyłałem ich swoim znajomym. Proszę mi wierzyć, że nie omiłem ani jednej okazji, abym nie żądał, by ludzie, którzy za swoją beznamięsność powinni być karani sądownie, wieszano bez udzielania im pomocy religijnej w ostatnich chwilach życia. Odpowiadałoby to tembardziej moim zamiarom, że klamcy ci otwierając umieszczając moje nazwisko w listach, które oby podczas wypełniania swojej funkcji świątobliwej, mogły swoim ciężarem klamstwa połamąć grzbiet pacierzowi wszystkim listonoszom i dyrektorom poczty, i doprowadzić do bankructwa poczty całego świata”.

Widzimy więc, że wśród „katenistów” są zwykli fałszerze podpisów, z takich to ludzi rekrutować ma się armia „przyjaciół ludzkości”... U nas większość osób, które przyznają się do udziału w tych gusłach, usprawiedliwia się tak: „Nie wierzę w kateny i uważam je za głupstwo ale; coż mi szkodzi przepisać i wysłać? A nużby mnie potem spotkało nieszczęście?” Rozumowanie godne wiejskich bab, które chore dziecko własne obkładają mięsem czarnego psa, zabitego o północy — i spluwają przytem trzykrotnie.

Mamy Wielkanoc. Jest to święto wiosny, radości, dobrej woli i bratania się ludzi. Sensem tego święta jest wielka idea chrześcijańska „miłuj bliźniego jak siebie samego” ta sama idea, która w tak obłędnym zbroje niu przemienia beznamięsny koncept rozsyłania kartek. Niechby to święto Zmartwychwstania Pańskiego pobudziło do myślenia amatorów idyotycznego sportu łańcuchkowego (a są ich tysiące...) i skłoniło do nieco głębszego wcielenia w czyn idei miłości ludzi: w każdym czynie, w każdej myśli, na codzień, w najdrobniejszych odruchach serca.

Witold Hulewicz

Złote schody

(Fragment z powieści)

Ludka siedziała w nowej celi, zmęczona i zupełnie wyczerpana moralnie. Samo to przejście ulicami Petersburga obok różnej hołoty — ileż kosztowało. Odesłano ją do więzienia etapowego, które z kolei miało ją przesłać do Wilna. Na progu nowego więzienia brutalnie ogłędziny lekarskie spadły na nią, jak ciężkie policzek, po którym tak trudno podnieść hardą głowę do góry. Popychano ją kulakiem z kąta do kąta, besztano wyszukanymi słowami, a dziewczyna milczała patrząc w przestrzeń suchymi oczyma. Wydało się jej nawet że już nigdy płakać nie będzie mogła. Siedziała całymi godzinami na twarzym stołku apatyczna i zniechęcona, myśląc, że pobyt w cyrkule był rajem w porównaniu z tem więzieniem. Tutaj nie można było chodzić po celi, ani zbliżyć się do okna, ani położyć się we dnie na twardej przyczek, ani głośno rozmawiać nawet... Dwie starsze kobiety, które zastała, przyjęły ją dość przychylnie, ale wkrótce przestały na nią zwracać uwagę bo Ludka była smutna i milcząca, jak jeszcze nigdy w życiu. Tamte, oswojone z więzieniem rosyjskie kobiety podziemne, przez cały n dny dzień, żuły swoją rozmowę, jak kawałki ościstego chleba... po przyjrzeniu się Ludce nie potrzebowały kryć

się przed nią, więc powoli rozmowa ich nabierała ostrego tonu. Czyhały na swoje przekonania z ukrytą w zana drzu partyjną bonibą... syczały przytłumioną nienawiścią...

Jedna z nich wysoka, chuda, czarnowłosa kobieta, z zapadłą piersią i błyszczącymi oczyma robiła w swojej ciemnej sukni wrażenie zakonnicy. Ale Ludka dowiedziała się, że córka jej ma już lat siedemnaście i że ta kobieta, podobna do suchotniczego kleryka, nigdy nie miała legalnego męża. Dla zasady. Żeby być wolną... Fanatyzm jej był zła godzonym jako taką umysłową kulturą, a pęd do wolności liczył się jednak z oporem, jaki okazuje wybujałej anarchii indywidualnej zorganizowane społeczeństwo... Skłonna więc była do niejakich ustępstw w dyskusji, a biorąc pod uwagę ilość wrogów socjalizmu, nie miała wielkich złudzeń, co do bliskiego triumfu socjalnej teorii. Zato ta druga była wierną kopią proletarskiej wiedzy, z jaką Ludka spotkała się w cyrkule. Oczywiście pod względem wewnętrznym, bo zewnętrznie była to ta sama czterdziestoletnia kobieta z obwisłymi piersiami pod szerokim kaftanem i grubymi rękoma praczk... Pociągła ciągle nosem i spluwała po kątach, a już zupełnie się nie liczyła z obecnością młodej dziewczyny, gdy chodziło o wybór dosadnych słów na określenie swojej nienawiści do obecnego ustroju... Pryskała cuchnącymi wyrazami w

twarz przeciwniczki, zionęła krwawym oparem tęsknoty do chwili, kiedy można będzie zabijać... Tamta patrzyła na nią suchotniczymi oczyma, nad którą lektwieży chwiała się dł ugie, piękne rzesy i wykładła łopatą na stół mądre cytaty, obalane przez robotnicę jednym kopnięciem. Więc niezmiernie na inteligentka ciągnęła jęczącym, chorym głosem:

— Ty towarzysko, nie liczysz się z okolicznościami. Jabyś może też się zgodziła na nasz program polityczny, gdybyś wierzyła w możliwość jego przeprowadzenia... Jakże można bez przygotowania wywracać wszystko do góry dnem. Odrzuć żadna rewolucja ludzi nie zmieni... Trzeba propagandę, rozszerzenia idei socjalistycznej.

— A przez ten czas pozdychają nam dzieci — czort weź! — syknęła antagonista.

— I tak pogina, jak pożar ogarnie wszystko... Nie przykładajcie pochodni do ścian... Minimalny program narazie.

— Wy, miłośnicy, to burżuje, bielorucki... Wam krwi szkoda. A niech płynie rzeką, niech wszystko zatopi. Mało to oni napili się naszej krwi proletariackiej? Powyrzynać wszystkich, wyniszczyć nasienie ich!...

— Jeżeli mnie tej krwi i szkoda, to nie dziwnego. Nasza krew, ruska. A u was bolszewików, to tylko: bij, rab, kol! A przecież Rosję możecie zgubić.

świt nowych dziejów będzie od krwi polskiej i rosyjskiej czerwony, to pewnie... Ludka spojrzała z pod oka na proletariackie rosyjską, która zająca się wyszukiwaniem pcheł pod załuszczonego kaftanem, i znarszczyła brwi niechętnie.

— A nu ją, tę Rosję! — powiedziała przed chwilą robotnica! Ludka nie nawiądziała Rosji, ale gdy ta Rosjanka ojczyznę swoją przeklinała, dziewczyna poczuła, jak się jej dłoń zacisnęła w dwie wrogie twarde pięści. Podła, wstrętna baba! Ma ojczyznę wolną, szeroko na dumnej mapie zakreślona, a mówi: Na jakiego czorta mnie Rosja? Czyż ojczyzna jest poto, żeby podsuwać człowiekowi, jak karmnej świni, pełne koryto?

— Moja ojczyzna nawet mi jeść nie daje... Moja ojczyzna pozwala, abym popychano ciężkim kulakiem... nie osłania przed brutalnym dotknięciem wstydlivosti mojej, żąda wszystkiego, nie dając nawet wyraźnej nadziei, a je jednak... a jednak miłość moja dla Niej pełna jest aż po brzegi bolesnej słodyczy. Ludka zakryła oczy splecionymi palcami i trwała tak, czując, że serce jej ocieka strumieniem gorących, niewidzialnych łez...

— O Boże... Boże. Jeżeli kiedyś... jeżeli tak się stanie... to już dla mnie nie trzeba... Mogę być osatnia żebraćką, skuloną pod zimnym płotem,

byłoby widzieć, że Ona jest pełną... że jest w swojej wolności szczęśliwa... O, Boże, nieznanu Boże, jeżeli jesteś... to wiesz, że Ona jest nam potrzebna, abymyś odpocząć mogli w miłości... Tek trudno ciągle nienawidzieć... Dobry Boże z moich dziecinnych snów, przemów do mnie, dał znak jaki, że bym się mogła aż do głębi duszy wiarą rozweselić.

Dziewczyna opuściła zaciśnięte ręce na kolana i podniosła instynktownie do góry bladą twarzyczkę, na którą padł ciepły odbłask budzący się z czarnymi kratami wieczornej zorzy...

Stanął więc bliżej okna przy ścianie, patrząc chwiejnie na szeroki łuk nieba nad połamaną linią dachów i komiń. Ciała była na najwyższym piętrze więc Ludka widzieć stąd mogła skłębione w dali obłoki, których wnętrze delikatnie rozświetlało zagubione wśród nich wieczorne słońce. Przez jakieś niewidzialne szpary zdołało ono rzucić z góry na dół szereg jasnych planów, załamanych na białości obłoków jak złociste schody Ludka rozchyliła nieco przybladłe usta z wyrazem zachwytu... Oto są złote stopnie, które schodzą z niebios wgłąb jej ubożego dziewczęcego serca, zwiastując, że la-da chwila spłynąć ma po nich świetlistym krokiem dobra, najlepsza Nowina.

Eugenja Kobylińska

Na krzyżowej drodze

Oswojone lwy na tarasie brzęczały łańcuchami i ziewały leniwie słońcu w twarz, tak złote jak one. Ciężkie girlandy purpurowego kwiecica spadały aż na czarne włosy Salome. Chciały ją pocieszyć w tym rozpaczliwym płaczu, ale dla niej nie było pociechy. Lepiej by te lwy zerwały ciężkie łańcuchy, rozszarpały jej łono i wypili serdeczną krew.

Szlachetna Faustyna, małżonka wielkorządcy, powiedziała ostatnie słowo: jeżeli rozbita waza nie zrośnie się do jutrzejszego — wieczora — Salome w kajdanach odjedzie okrętem na zachód, do dalekich kopalni, za morzem, w nieznajomym kraju, gdzie bolesna śmierć wisi na końcu bata bezlitosnego dozorczy.

Szlachetna Faustyna tak kocha swoje wazy? Nie. Ta waza spadła, bo ją potrącił szlachetny Mucjusz, ściskając nieostrożnie Salome w tricinium... Kiedy pani stanęła w progu — zapóźno było, by uciec, by się skryć.

Faustyna lubiła czarne oczy Mucjusza i jego hardą mowę. Cóż ma czynić niewolnica, by u wszystkich na łaskę zasłużyć! Dokąd ma pójść po radę?

Stary Szymon, syn Judy, przyniósł w żelaznym koszu miedze ochłapy dla lwów. Mięso cuchnęło mdłą wonią i Salome poczuła w gardle dławiącą niemoc. Jęknęła głośno. Szymon, syn Judy obrócił ku niej głowę podobną głowie drapieżnego ptaka.

— Tyżes to? Od wczoraj płaczesz Salome! Nie płacz. Słyszałem jak szlachetny pan powiedział naszej pani, żeś nie zasłużyła na karę tak sroga. Chciał wybaczyć zupełnie, ale pani jest uparta: jeżeli waza się nie zrośnie, — pani odesłacie się swojej siostrze do Rzymu. A że nie zrośnie się napewno, — stary pokazał w uśmiechu bezżębne dziąsła, — tedy od dziś za miesiąc będziesz haftowała szlachetnej Fabioli wschodnie desenie na tunikach i trefila jej włosy.

Salome wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem:

— Wolej kopalnie, wolej już kopalnię, bo Marek tu zostanie.

Szymon pokiwał współczująco głową.

— Zostanie, ani słowa. Na to już nikt nie poradzi. A no, młodas, najdziesz sobie drugiego, tam, w Rzymie.

Salome chwyciła się oburzać za włosy i tłukła głową o biały marmur tarasu.

— Bogdaj mię śmierć! Bogdaj mię wpięć śmierć ugodziła!

Oba lwy, zdziwione, zamruczały gniewnie.

Szymon, syn Judy przysiadł na stopniu tuż obok łkającej Salome.

Gdyby poszła do kopalni, powiedziałbym ci coś... Nurot powiodła na smerc Jezusa z Nazareth, tego proroka — Galilejczyka, co chodził trzy lata nad brzegami jeziora Genezar... i nauczał ludzi, że mają wzgardzić pychą i próżnością świata, a czynić miłosierdzie w Jego imię. Mówią że On wskrzesza umarłe, uzdrawia kalekie... jutro na drodze, z Jeruzalem po Golgotę, gdzie śmierć czeka straceńców, ustawia się rzesze ludu, rzesze nędznych i chorych po ostatni cud...

Salome podniosła się dzwignęła na klęczki, odgarnęła czarne strugi włosów ze spoczonego czoła. Zawisła chciała oczami na szymonowych ustach.

— A jeżeli nie do kopalni? jeżeli tylko do Rzymu, to dlaczego?

Szymon roześmiał się z politowaniem.

— Miłe dziewczę! Tam jutro przyjdą największe nędze, najdotkliwsze bóle z całej ludzkiej krainy. Gdzież ty chcesz pomieścić w tej ciżbie swój mały ból i swoją rozbitą wazę?

— To nie jest mały ból. Mnie serce pęknie.

Szymon pokiwał głową:

— Dziecko, dziecko, każdy tak mówi, gdy ma dwadzieścia lat. Prawdziwy ból, to śmierć, choroba, nędza... A miły zawsze się znajduje: nie ten to drugi.

Zamilkł, opłótł kolana ramionami i wpatrzył się w niebo. Czerwieniało już zlekka na zachodzie.

Lwy skończyły ucztę i przeciągały się z wielkiej sytości.

Salome przestała płakać.

* * *

A droga do Jeruzalem do Golgoty pełna była ludu. Białe szaty niewiast spletały się w jedno z burmi opończami rybaków z Kapharnahum.

Uczniowie Jego byli tu wszyscy i łkali głośno, niebacznici na rzymskich legionistów.

Nosze z bezwładnymi chorymi leżały po obu stronach drogi jedne przy drugich, bolesna, rozżalona aleja. Pod murami miasta, tuż za bramą, przysiedli kupcy trędowaci i kołotali głośno w swoje drewniane kołatkę.

Salome szła po białym pyłe, przyciskając rozbitą wazę do piersi.

Trzy razy już chciała przystanąć na skraju drogi i trzy razy odchodziła odepchnięta. W końcu dojrzała pod szarą od kurzu oliwkową garstkę nazarejczyków i podeszła ku nim. Jeden miał dobre oczy i długą białą brodę. Ku temu zwróciła głowę.

— Czy mogę stanąć tu, obok was? spytała nieśmiało?

Białobrody odpowiedział łagodnie:

— Stań nieco dalej. Nie jesteś chora ani kaleka. Ty pewnie chcesz tylko pokłonić się Rabbimu, gdy będzie tędy przechodził na dobrowolną ofiarę?

Salome spuściła oczy i zapłonila się.

— Ja także pragnę cudu, — szepnęła tak cichutko, że wiatr, szumiący w gałązkach oliwki, zagłuszył jej mowę.

Ale starzec domyślił się o co chodzi, gdy rozchyliła takdy szaty i ukazała skorupy, piastowane na łonie. Zmarszczył brwi:

— Z tem idziesz do Pana? Takiego pragniesz cudu w godzinę Jego śmierci? Spójrz! —

Wskazał ręką na prawo: o trzy kroki przed nią stały mary, na nich trup, przykryty całunem, a obok wdowa z podrapaną twarzą, z roztarganymi włosami, wybuchła raz po raz wilczym wyciem, by znów potem stężeć w kamień.

Salome zawstydzila się bardzo, ale tylko na chwile.

— Ja także stracę miłego, jeżeli Rabbi nie sklei tej wazy! — wykrzyknęła namiętnie. Starzec nachmurzył się jeszcze surowiej.

— Jesteś choć miły mężem albo li znówionym?

— Nie, ledwie tchnęła ze wstydu.

— Zali nie wiesz, że izraelskiej dziewczicy tylko po znówionym płakać wolno?

Nieublagany starzec ciągnął dalej Salome milczała przybita. Nieublagany starzec ciągnął dalej.

— Wierzysz li w Syna Człowieczego? Znasz Jego naukę?

— Nie.

Zuchwała dziewczko! — A żądasz cudu! Odejdź ze stąd conajprędzej.

Zdrugotana Salome usunęła się za grupę niewiast, rozprawiających głośno wokół niewiedomego chłopca. Te jej nie odpędyliły. Więc przysiadła na kamieniu, patrząc w stronę miasta. Słońce dochodziło południa i wzmagalo żar. Rozedrgane powietrze skrzyło się i migotało, jak woda. Ale wiosenny wiatr chłodził skronie i nie dawał sychać się wargom. Salome czekała cierpliwie.

Oto iskierki słoneczne skupiły się w osiepiające ogniki. Jak dużo tych ogników. To ostrza rzymskich pik. Ciżba zakotyłała się, chybnęła naprzód, a potem znowu w tył, odepnięta. Tu i ówdzie rozległy się łkania. Teraz doczyli się wszyscy jeden przez drugiego, niewiasty podnosiły dzieci na rękach, mężczyźni wygrażali zaciśniętymi pięściami i opuszczali je znowu, bezradni. Któż mógł pomóc? Oddział zwarty, mocny, szedł sprężystym krokiem, roztrzącał tłum, jak ściółowy dziób łodzi roztrząca morskie fale. Prud ludzkie zwaly, jak łódź zwaly wodę pruje. Salome ujrzała jasną Twarz władcy śmiertelną białością, a na niej króple potu i krwi podobne perłom i rubinom w djademnie. Djadem beczenny kłnił na Świętem Czołe pod cieniową koroną. I ten czarny krzyż, przyniatający barki!...

Salome siedziała zakrzepnięta.

...Nad jej głową świegotały rozpaczyliwie ptaki, zwierzę pustynny rozmykał bokiem, uciekał w dół, przed siebie, od przekłętého miejsca, na którym zabito Boga.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

Salome nie uciekała. Miała w swem sercu uśmiech Jezusowy i wiedziała, że nie się już stać nie może coby wartego jednej tzy.

Wanda N. Dobaczewska.

— Kto ty jesteś? Znasz Pana? Dla czego do ciebie jednej przemówił?

Salome nie odpowiadała. Omdlała ze znużenia, siadła znowu na swoim gładzie i głowę wtułila w łonie.

Na Golgocie działo się straszliwie: ryczały stugromne czarne chmury, darty się od błyskawicy. Ziemia pękała z hukiem dokoła śmiertelnej góry, cienie umarłych wichrem leciały koło samotnej dziewczyny, kręcąc się jak liście jesienne w zawierusze.

